

Lech Gienza

Katolicki Uniwersytet Lubelski Jana Pawła II, Lublin

Recenzja książki Jacka Bolewskiego SJ „Co po Wenecji... Śladem artystów i świętych”

[Jacek Bolewski SJ, *Co po Wenecji... Śladem artystów i świętych*,
Wydawnictwo Święty Wojciech, Poznań 2010]

Przyznaję, że pierwszy mój odruch na książkę ks. Jacka Bolewskiego *Co po Wenecji... Śladem artystów i świętych* to wewnętrzne *bastia*. Już dość, dość esejów o Włoszech, o Wenecji, bo przecież można z nich zrobić odrębną, wcale pokąźną biblioteczkę! Mamy i Herberta z *Barbarzyńcą w ogrodzie* i Iwaszkiewicza, i Zagańczyka, i Bieńkowskiej *O czym mówią kamienie Wenecji...* A jednak książka Bolewskiego wnosi świeży powiew i warto po nią sięgnąć.

Tajemnicę sukcesu Bolewskiego zdaje się częściowo odsłaniać już sam tytuł. Wprawdzie fraza „śladem artystów i świętych” sugeruje treści typowe raczej dla przeciętnego przewodnika turystycznego, jednak lektura szybko to wrażenie zaciera, zastępując głębszymi doznaniem. To książka o przecinaniu się, łączeniu, czy też raczej myleniu tropów na drogach świętości i drogach sztuki. Wystarczy przyjrzeć się, jak Bolewski wspomina Brodskiego:

Wenecja przestała kojarzyć się Brodskiemu ze śmiercią, stała się dlań obrazem raj. To przejście było przejawem zdrowia, zwłaszcza natury duchowej. [...] A szczególną rolę w odsłanianiu piękna weneckiego raj. gra zimą światło. Brodski poświęca mu strony, w których powraca najwyraźniej echo jego strof o Wenecji. [...] W pełni zimowego światła, pewnego popołudnia przed odjazdem, dane zostało Brodskiemu przeżycie dojmującego szczęścia, jakby dopełnienie tego, czego doświadczył pierwszego wieczoru po przyjeździe.

Miasto, włączone przez poetkę wyobraźnię w chrześcijańską ikonofery, staje się przestrzenią religijnego doświadczenia. Brodski-poeta staje się Brodskim-mystykiem, a Wenecja miejscem epifanii. Fascynującą

sprawą jest przyglądać się, jak u Bolewskiego kolejne postaci znane z historii rysowane są cienką kreską, odzyskują własny kontur i zaczynają ożywać.

Esej Bolewskiego przedstawia szereg osób związanych z Wenecją: Jana XXIII, Brodskiego, Casanovę, Henry Jamesa, Marka ewangelistę... To jednak samo miasto zdaje się tu być bohaterem pierwszoplanowym. Bolewski odsłania przed nami sieć sekretnych związków łączących poszczególne postaci z miejscem tak obrosłym w różnorakie sensory. Czytamy: „Wenecja jest jedyna i niepowtarzalna, więc i tutaj posługa błogosławionego patriarchy miała rysy specyficzne, które ją wyróżniały. Jednak i najpiękniejsze miejsce, choćby skłaniało do zatrzymania się, może do końca, stanowi jedynie przejście – dalej i głębiej” (s. 19–20), „Wenecja nawiedzana zimą darzyła poetę światłem innego jeszcze rodzaju – świętem Bożego Narodzenia” (s. 67), „jeśli na ziemi niebo stanowiło dla niego Wenecja, przynajmniej w początku, gdy dała mu największe szczęście, to może kobieta reprezentowała to samo, co rodzinne miasto [...]” (s. 133–134). Za każdym razem to historyczne miejsce zda się być częścią dynamicznego układu: przestrzeni z zamieszkującym ją człowiekiem.

Ten skomplikowany układ pomiędzy miejscem i ludźmi zostaje wzbogacony o dyskretną obecność eseisty. Kim jest Bolewski-bohater własnej książki? Nie ukrywa przynależności do stanu duchownego, choć nią nie epatuje. Z pewnością jednak kapłańskie spojrzenie na rzeczywistość jest integralną częścią kreacji podmiotu eseistycznego. Szczególnie wyraźnie widać to w kapitalnym jak dla mnie rozdziale zatytułowanym znacząco: „Zwiedzanie czy nawiedzanie”: „Jakby niepostrzeżenie – zwiedzanie przeszło w nawiedzanie... Gdy turysta zauważa w końcu, że więcej aniżeli zaliczanie ciągle nowych miejsc daje powracanie do niewielu, tych istotnie ważnych, wtedy w nim samym otwiera się wymiar nowy, duchowy”. To mnie u Bolewskiego właśnie zachwyca: zdolność fuzji talentów człowieka bywałego i pełnego oglądy z głęboko ewangelicznym oglądem rzeczywistości. Nie mącąc pierwotnej radości obcowania z przestrzenią sztuki, autor dyskretnie dopowiada, że to nie wszystko, że trzeba pójść dalej i patrzeć głębiej.

Jest w tej metodzie konstruowania „ja eseistycznego” dużo z samego Herberta. Gdy Bolewski pisze o trudnej sztuce patrzenia („utrwałam obraz – oczyma zamkniętymi jeszcze chwilę [...]”), gdy dystansuje się do stricte naukowego podejścia do sztuki („ich uczone wywody o poezji Brodskiego niewiele dawały – mnie przynajmniej”), gdy wreszcie kreśli własne, samotnicze ścieżki wśród tego, co powszechnie uznane za wartościowe i piękne – dostrzegamy patronat autora „Martwej natury z wędzidłem”. Nie jest to jednak obecność nachalna, poza tym z takiego zapożyczenia trudno robić zarzut.

Jeżeli jednak w esejach Bolewskiego mówi kapłan, to z pewnością kapłan specyficzny. Jakkolwiek esej o Janie XXIII otwierający cały tom

zaczyna się wspomnieniem Jubileuszowego Roku 2000 i obchodów, w których autor uczestniczył w Rzymie, to jednak wyraźnie zaznacza on swoją odrębność; usuwa się w cień, staje z boku. Tu podobieństwa z Herbertem się kończą: nie znajdziemy opisu „stad turystów” i „spocynych farmerów”. Bolewski wybiera samotność; absolutnie nie jest to jednak wyniosła samotność, to raczej inny sposób poznawania miasta, nieustanny wysiłek skupienia. Nie darmo pisze: „trochę się przy grobie pomodliłem, ale rozproszyło mnie późniejsze przeglądanie książki, tak że w końcu zapomniałem o tym, aby przynajmniej odpisać sobie tytuły wierszy z płyty”.

Jest w książce Bolewskiego coś, co przypomina najświetniejsze dokonania „literatury katolickiej” z lat 60. i 70. Literatury, która obecnie znalazła się w stanie uwiądu. U Bolewskiego można znaleźć odwagę otwarcia się na kulturę świecką, gotowość uznania jej autonomii wobec religii, ale też szukania dróg porozumienia i dialogu. Sam pisze przecież o Wenecji jako „miejscu spotkania” i tak ją kreuje. Zdumiewa, jak eseista potrafi poprzez pryzmat wiary spojrzeć na słynnego XVIII-wiecznego libertyna i kochanka: „Casanova słusznie przeczuwa, co dzisiaj odkrywa także teologia chrześcijańska, że ciało – nie tylko dusza – jest darem od Boga i samo ziemskie Życie daje szczęście, zapowiadające więcej”.

Bolewski wędrujący po Wenecji to nie tylko duchowny, to także specyficzny turysta, szukający piękna w zakamarkach omijanych przez tłumy zwiedzających. To również wrażliwy i spolegliwy czytelnik, dla którego lektura jest sztuką stawiania pytań niebanalnych i zawsze – jakoś „życiowo” ważnych. Ale jest jeszcze ktoś, kogo z braku lepszego wyrażenia nazwałbym „człowiekiem estetycznym”, który nieustannie ponawia wysiłek stawiania się „człowiekiem religijnym”. Poprzez kulturę dochodzi do rzeczy ostatecznych, których nawet język sztuki nie jest w stanie opisać. Stąd też pytanie tytułowe „Co po Wenecji...”, jak sam pisze, nie jest w istocie pytaniem. Jest wskazówką i próbą wyjścia poza widzialne, nawet jeśli widzialne urzeka.

Dlatego w jednym z fragmentów opisuje swój zachwyt widokiem z gościnnego pokoiku, który okazuje się widokiem cmentarza. Kwitując go słowami:

W tej perspektywie przybliżam się jakby nieśmiało do prawdy, że tak opisuję spojrzenie na – cmentarz... [...] A może faktycznie znajdujemy tu wskazówkę, że najpiękniejsze w życiu – nie wyłączając Wenecji – kieruje ku temu, co po nim otwiera się całkowicie jako życie wieczne. (s. 232)

Dyskretnie przy tym ukazując nam sens wszelkiego piękna. Warto ruszyć śladami Bolewskiego. Bynajmniej nie tylko w poszukiwaniu ulotnych wzruszeń.